

Babcia Skorupiak

Przełożyła Elżbieta Zarych

Im starsza stawiała się moja babcia, tym wydawała się sobie młodsza. Myślała, że ma dwadzieścia trzy lata, a miała osiemdziesiąt pięć. Piła białe wino, a o czwartej po południu filiżankę kawy. Ale żaden z tych napojów nie miał na nią najmniejszego wpływu. Kiedy robiło się ciemno, zawsze mówiła, że musi już iść, że nie może przegapić autobusu, bo inaczej nie wróci do domu. Siedziała na środku własnej kuchni, gdzie przebywała już od dziesięciu lat i wcale się stąd nie ruszała, ale za żadne skarby nie dała się przekonać, że jest u siebie w domu. Jej dzieci, a więc moja mama i moja ciocia, zawsze mówiły, że najgorsze jest to, że nie można już z nią porozmawiać. Ale można było z nią całkiem niezłe porozmawiać, jeśli tylko zaakceptowało się, że w momencie pogawędki miała dwadzieścia trzy lata. Prowadziłam z nią cudowne rozmowy. Czasem myślała, że jestem jej siostrą, że mam na imię Renate, a czasem, że jestem jej koleżanką, która też była krawcową, jak ona. Zapomniała, że zakończyłam moją karierę szwaczki już jako dziesięcioletka i że ta kariera trwała tylko pięć minut, ponieważ zaraz potem przesyłam sobie palec, i to dokładnie, ponieważ zapomniałam, że można by zdjąć nogę z pedału znajdującego się pod stołem i zatrzymać bezustannie wbijającą i wysuwającą się igłę; do końca roku szkolnego nie musiałam już więcej szyc. W następnych latach starałam się tak ustawić szycie, że w czasie lekcji oddawałam się szkicowaniu i przycinaniu, a moja mama lub siostra potem przed następną lekcją musiały przesywać w domu.

Kiedy miałam dwadzieścia siedem lat, złamałam sobie prawą kostkę, dokładnie tak samo jak moja babcia, gdy była w tym samym wieku. Z tą jednak różnicą, że ona wyskoczyła z płonącego domu, a ja po prostu spadłam z roweru przed wejściem na uniwersytet. Ale często zadawałam sobie pytanie, z jakiej wysokości umiałabym wyskoczyć z okna, żeby sobie nie złamać kostki, a pożar w domu był przez długi czas jednym z najstraszniejszych wydarzeń, jakie mogłam sobie wyobrazić. Czarczi Młyn – tak nazywał się ten dom, z którego okna wyskoczyła moja babcia, ponieważ stojący na ulicy sąsiad zawołał do niej, że powinna skoczyć, jeśli nie chce spłonąć. Kilka minut później nadjechała straż pożarna z płachtą. Ale moja babcia leżała już na trawie, trzymając w górze stopę ze złamaną kostką, tak jak wciąż trzymała przez kolejne tygodnie, kiedy zawieszono jej w szpitalu ciężarki przy nodze, aby nastawić złamanie. Ten dom nadal stoi. Na skrzyżowaniu, gdzie tory przecinają ulicę, która biegnie równoległe do rzeki. Od kiedy znam ten dom, ten Czarczi Młyn, znajduje się w nim na parterze piekarnia. Kupowałam tam później często różowe wypieki, które miały formę małych słonych paluszków, rożków albo bułeczek. Noga babci nie rosła się całkiem dobrze i przez całe swoje życie czuła w kostce zmiany pogody. W mojej kostce czułam łaskotanie na śnieg.

Nie było to w każdym razie niemiłe uczucie. Dostałam żółty gips i nikt dziś nawet się nie domyśla, że kiedykolwiek złamałam kostkę.

Myślę, że moja babcia nigdy całkowicie nie wyzwoliła się od wojny. „Ta wojna” – jak ją nazywała, jakby była tylko jedyna jedyna. Tak jak może nikt nigdy całkowicie nie odpoczął od tych wydarzeń. Doszło nawet do tego, że babcia, kiedy była już stara i przez cały dzień siedziała na swoim krześle jak wrażliwy skorupiak, wciąż bała się, kiedy zbliżał się wieczór. Jeśli przegapi autobus, to nie da rady tego wieczoru wrócić do domu – lamentowała – szybko, musimy się pospieszyć. W domu musi gotować dla swojego brata – naciskała i próbowała wstać z krzesła, którego już od miesięcy nie mogła opuścić bez pomocy. Jej brat, chyba drugi, zmarł młodo. Renate – zwracała się do mnie i ścisnęła błagalnie moją rękę. Powtarzała jej moje imię i przypominała moją rolę w jej życiu, a ona uśmiechała się i mówiła, że krótkie włosy lepiej mi pasują. Rzeczywiście niedawno obciąłam włosy. Ale było dla mnie zagadką, jak mogła to widzieć swoimi oczami, szaroniebieskimi oczami, które były prawie ślepe i nie pozwalały jej dostrzegać niczego poza szarymi sylwetkami, tak że rozpoznawała ludzi tylko na podstawie ich głosów, a twarze już dawno zdawała się zapomnieć.

Im była starsza i młodsza, tym była mniejsza. Jej twarz ściągała się, jej ciało, które jeszcze kilka lat temu było zwaliste i korpulentne, które wrastało w fotel, chociaż prawie wcale nie jadła, stawało się mniejsze. Była mała jak dziecko, które z łatwością można unieść z miejsca, gdzie siedzi, i zanieść do łóżka. Już nie miała ochoty długo siedzieć wieczorami. Jeżeli nie domagała się pójścia do autobusu, chciała do łóżka, w którym leżała potem z otwartymi oczami, nic nie widząc.

Naprzeciw łóżka stała wciąż stara maszyna do szycia z dawnych czasów, pozbawiony prądu stolik, który trzeba było napędzać pedałem nożnym. Przy tym stole kiedyś mi pokazywała, jak się robi na końcu nitki supełek. Nawijało się nitkę wiele razy wokół palca wskazującego, rolowało powoli nici kciukiem i pociągnięto się silnym ruchem, aż tworzył się supełek. To działało i teraz. Zawsze, kiedy przyszywałam guzik, robiłam najpierw, zanim wbiłam igłę w materiał, supełek na końcu nitki.

Częściowo moja młoda babcia nie przypominała już sobie guzików. Zajmowała się masowaniem kuracjuszy w uzdrowisku. Przeprowadziła się do piwnicy swojego domu, żeby pokoje na piętrze wynajmować gościom. Letnicy, mówiła o tych ludziach, kuracjusze. Masowanie bardzo się jej podobało i pokazywała mi, jak się masuje ludziom karki. Kanty dłoni musiały uderzać szybko i celnie w plecy pacjentów. Często demonstrowała to na moich ramionach, a ja to powtarzałam na jej.

Zapytałam ją, czy mogę jej zaproponować jeszcze jeden łyk wina. Nie reagowała, pokazała bez ruchu, że usłyszała moje pytanie. Zapytałam ją jeszcze raz, zaproponowałam jej obraną pomarańczę, karmiłam ją pojedynczymi cząsteczkami i chociaż nie odpowiedziała „tak” na moje pytanie, czy chce więcej, otwierała usta za każdym razem, kiedy zbliżałam rękę z kawałkiem owocu i połykała wszystko bez słowa jak grzeczne dziecko.

Pierwsze dwa lata mojego życia spędziłam na stole mojej babci. Tu leżałam, kiedy mnie przewijała i karmiła. Może wynikało to z tego, że ją wyjątkowo lubiłam i często,

kiedy kłóciłam się z rodzicami, patrzyłam na nich z wyrzutem i mówiłam, że idę do babci, przeprowadzę się do babci, babcia mnie rozumie. U niej mogłam wkładać palec do ciasta, wylizywać ręką garnek, w którym ubijała śmietanę. Bitą śmietaną była wspaniale bezsmakowa. Miałam fiola na punkcie bitej śmietany. Kiedy wstałyśmy wcześniej rano i o dziesiątej znowu byłyśmy głodne, rozkrawała mi bułkę, do której wkładała kawałek czekolady. Miałam fiola na punkcie bułek z czekoladą. Czekolada była tak gruba, że musiałam się natężyć, żeby objąć ją zębami.

W piątki oczywiście nigdy nie jadłyśmy mięsa u mojej babci, która w Wielkonoć zawsze zabierała mnie do kościoła i w Wielki Piątek o trzeciej po południu regularnie spoglądała przybita, szła ze mną na Drogę Krzyżową, na której opowiadała mi tę ciekawą i straszną historię o ukrzyżowanym czarodzieju. Babcia, która mi wieczorami przed zaśnięciem mówiła modlitwy, zmieniające się później w handel wymienny, w którym moje bycie grzeczną i niekłócenie się z siostrą wymieniałam z Bogiem na jakieś ciekawe rzeczy, jak rolki albo tort Sachera na urodziny. Szczególnie lubiłam Wielki Piątek, bo potem jadłyśmy leguminę (która wciąż była moim ulubionym daniem), bułeczki z marmoladą i strudel maślany, kluski z makiem, że o naleśnikach z lodami nie wspomnę. Wielki Piątek został pomyślany jako kara, aby odpokutować za grzechy popełnione w ciągu tygodnia, by podziękować czarodziejowi, który się za nas ofiarował, tak to wtedy odbierałam, ale nie pojmowałam nic, bo dla mnie te słodkości na obiad były największą nagrodą. Czarodzieja bardzo lubiłam. Wyglądał bezbrinnie i cicho na krzyżu ze swoimi wygrawerowanymi nad głową literami I.N.R.I. Miałam swoją Biblię dla dzieci i czytałam w niej poruszające historie. O ludziach, którzy umieli przejść przez wodę. Na przykład. Moje długotrwałe marzenie, ponieważ w rzeczywistości udało mi się to jedynie zimą.

Wyraźnie słyszałam głos mojej babci – wołała mnie z ogrodu do domu o czwartej po południu, kiedy były gotowe jej kawa i moje kakao, którego nie robiła po prostu z proszku, i dodawała „-er!” do mojego imienia, tak jak konsekwentnie dawała zły rodzajnik przed słowem „lody”. Im byłam starsza, tym bardziej zaskakiwało mnie niewiarygodne podobieństwo mojego odbicia w lustrze do zdjęcia wiszącego w jej sypialni nad kredensem. Słyszę jak wypowiada te słowa. Zapomniane słowa, których nikt już nie używa – *kredens, fauteuille*.

Kiedy leżałam u niej na kuchennym stole, gotowała na opalonym drewnem piecu. Zapalała go rano i wygaszała dopiero po południu. Nie gotowała na nim tylko obiadu, ale i pranie, białą bieliznę i lniane ścierki, które, kiedy były już wygotowane, wieszala na sznurku rozciągniętym między krzakami agrestu i porzeczek. Od kiedy babcia nie rozwieszała już prania, krzaki agrestu wydawały się dość rzadkie.

Moja babcia stała w ogrodzie i pokazywała palcem wskazującym na śnieżną plamę na górze, która wznosiła się na północy, za drewnianą chatą. Widzisz koronę, welon, jaki nosi, długą bogato zdobioną suknię przykrywającą jej buty? Wraz ze śnieżyczkami i narcyzami na korzeniach jabłoni regularnie stawała się widoczna również Królowa Śniegu. W ciepłe dni marcowe chętnie wchodziła na wierzchołek Zimnitz

i stąd patrzyła w dolinę. Babcia opowiadała również o jej mężu, Królu Śniegu, który właściwie powstawał z topniejącego na polach śniegu. Ale króla nigdy nie widziałam.

Im była starsza, tym częściej wspominała ciemne noce w ciemnej piwnicy. Dni, kiedy z frontu wrócił ranny jej mąż, o którym mówiła, jakby był tylko jeden jedyny. Przeszedł pieszo przez jezioro Traunsee – myślała przy tym o brzegu jeziora, bo nie był żadnym świętym – i tak wrócił do domu, w którym jednak nie został, tylko znowu ukrył się w górach czy też na strychu Czarciego Młyna, gdyż nie chciał wracać na front, gdzie wiedział, że zginie. Im była starsza, tym częściej czekała na swojego brata nieżyjącego od ponad sześćdziesięciu lat.

Była wesołym człowiekiem, ale nie udało mi się skłonić jej głosu do śmiechu. Kiedy moja babcia była tak stara, że już dłużej nie chciała mieć dwudziestu trzech lat, musiała być o wiele młodsza, tak młoda, że już prawie nie mogła mówić. Powiedziała tylko, że ma dosyć życia, zaplotła błagalnie ręce jak w czasie naszych wycieczek na kolorowo przystrojoną Drogę Krzyżową, na której końcu spała pod ślubnym welonem śliczna lalka młodzieńca znikającego potem razem ze wszystkimi otaczającymi go dzwonami na kilka dni. Błagany, wracał w pewną niedzielę, kiedy na babcinym kuchennym stole mogłam zjeść tyle kolorowych jajek, aż mi było niedobrze i kładłam się na plecach na trawie między krzakami agrestu. Przez całe swoje życie babcia zaplatała dla mnie swoje ręce. I kiedy to robiła, też wierzyłam, że to jakoś pomaga. Kiedy ja to robię, to tylko gest pozwalający mi uniknąć nerwowych ruchów dłoni.

Gdyby mogło być tak, jak chcę, najchętniej widziałabym moją babcie tak długo siedzącą na krześle w kuchni, aż ja sama byłabym tak stara, żeby znowu młodnieć. Wtedy mogłybyśmy siedzieć koło siebie, w jej kuchni, dwie muszle, które się już nie poruszają. Ale ona tego nie chciała.